Z Galle wyjechaliśmy z żalem… fajny był hotelik, w którym mieszkaliśmy, dobrze nas tam karmiono, no i ta plaża… jeszcze rankiem w dniu wyjazdu stanęłyśmy z Grace na tarasie, gapiłyśmy się na ocean i wtedy koleżanka wypatrzyła na płotku nieopodal naszego lokum cudnego, o błękitnym upierzeniu zimorodka. Siedział sobie i pozował do zdjęć, po chwili przeleciał metr dalej, znowu przycupnął i przyglądał się czemuś zabawnie kręcąc łebkiem. Egzotycznych zwierząt i ptaków mieliśmy tego dnia zobaczyć jeszcze sporo, bo przecież jechaliśmy do Tissamaharamy, w pobliżu której znajduje się Park Narodowy Yala. O tym parku i zwierzętach w nim żyjących interesująco opowiedział Kuba Sz., więc wyposażeni w sporą dawkę wiedzy pomknęliśmy do hotelu zrzucić bagaże, a potem przesiedliśmy się do jeepów i ruszyliśmy w kierunku parku Yala. Ciekawi byliśmy, my – starszyzna – czy zobaczymy jakieś zwierzęta, bo przecież wyjazd na safari to nie spacer po ogrodzie zoologicznym. I jakież było nasze zdziwienie kiedy to z prawej i lewej raz po raz wyłaziły z zarośli a to słoń, a to bawoły, sambary, jelenie aksis… widzieliśmy też mundżaka indyjskiego, małpy, mangusty, krokodyle, warany, pawie, ibisy, czaple, bociany, a nawet kanię czarną i dzioborożca. Park zamykają o 18tej i równo w godzinie zamknięcia wyjechaliśmy stamtąd na nocleg. I lampart metr przede mną mniej by mnie przeraził od tego, co przeżyłam wracając jeepem do hotelu. Za kierownicą siedział jakiś szaleniec, kierowca z betonową nogą na pedale gazu. Cały czas zastanawiałam się dokąd tak się typowi śpieszy… głodny? Ma młodą żonę czy dziewczynę, o którą jest zazdrosny i chce przypilnować? Obiecywałam sobie, że jak dojedziemy to oberwie. Na szczęście po drodze było sporo spowalniających jazdę „chopków”, więc kiedy zwalniał to łapałam oddech i ostatecznie przeżyłam.

Inna sprawa, że nasi milusińscy w innych jeepach pokazali kierowcom, że cieszy ich takie gnanie na złamanie karku, a jeszcze bardziej podskoki na tych asfaltowych wybrzuszeniach i kierowcy fundowali im te atrakcje celowo.

Kolacja w hotelu przebiegła spokojnie, przygotowane dania były pyszne, choć pierwszy raz tego, co zaserwowano było trochę mało. Młodzi wyprawowicze lubią jeść, bądź co bądź rosną, całe dnie spędzają aktywnie i porcje „restauracyjne” nie dla nich… więc smętnie gapili się w talerze i puste bemary. Wygrzebywali z nich co się dało, aż błyszczały dna naczyń. A potem poszliśmy spać, bo następnego dnia czekała nas długa droga w góry. A następnego dnia rano zjedliśmy śniadanie, sprawnie spakowaliśmy plecaki, wynieśliśmy je do autokaru, a ten był zamknięty na cztery spusty. Kierowcy wstali później od nas, dość długo jedli, a my czekaliśmy gapiąc się na jezioro i rosnące na jego tafli różowe jak wyprawowe koszulki kwiaty. W pewnym momencie podeszła do nas menadżerka hotelu I żegnając się z nami zaczęła opowiadać jak to z tego niewinnie wyglądającego jeziorka wyłażą co i raz KROKODYLE i wygrzewają się w słoneczku. Na wąskiej drodze do pensjonatu, w którym nie tylko nocują turyści, ale też odbywają się wesela. Od razu sobie wizualizowałam polskich weselników balujących w tych warunkach i przepijających nad ranem zdrowie państwa młodych z bestią z mokradeł.